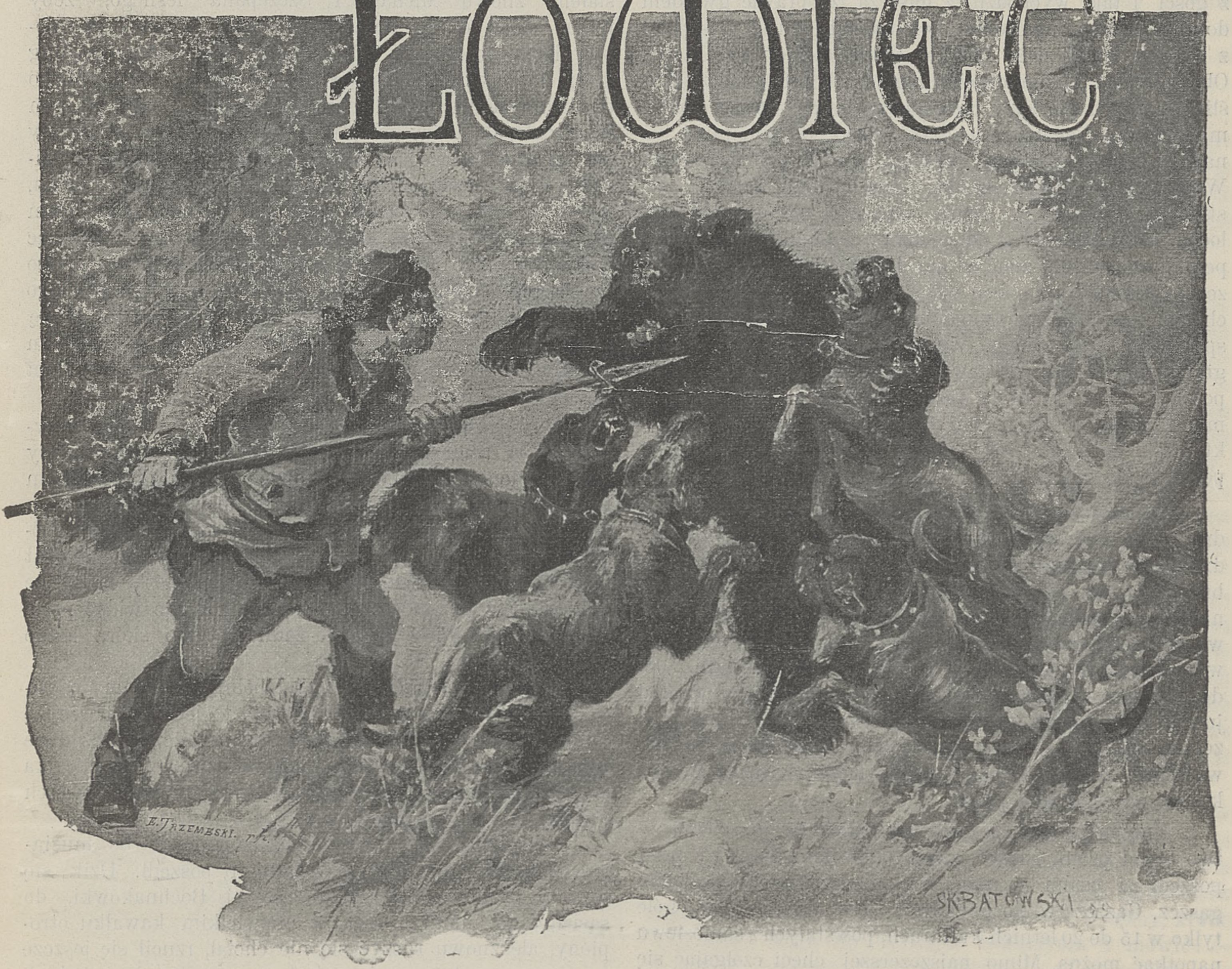
Nr. 23. Lwów, 1. grudnia 1903. Rok XXVI.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Dzik leśnemu odebrał strzelbę.

Jeszcze dziwniej to brzmi, jeżeli dodam, że temu jedynemu, który nie miał certyfikatu łowieckiego bo mu go wraz z pularesem ukradli, a duplikat nie nadszedł. Jednak tak było.

Przez lato zaglądają zawsze do mego rewiru Jamne pojedyncze dziki, przebywają po kilka tygodni, odchodzą i znowu przychodzą. Przekonałem się, że nadzwyczajnego szczęścia by było potrzeba, żeby w lesie dostać dzika na strzał, bo gąszcze są nieprzebyte i pogonka prawie nigdy dzika z nich nie wygna a psów nie chcę puszczać, bo za dużo mam w rewirze innej dziczyzny, za którą moje psy, nie zaprawione na dziki, chętniej chodzą. Czekam tedy cierpliwie zimy i na pierwszej ponowie upominam się dzikowi o zwrot szkody za porycie ziemniaków i zniszczenie owsa.

13-go listopada doniósł mi leśny, że ma otropionego dzika w Jamnem, wobec tego zaprosiłem 4 myśliwych i zapowiedziałem, że 14-go będę na godzinę 12-tą w rewirze.

Na wezwanie stawiło się tylko 2 myśliwych, ja z leśniczym, to cztery strzelby, do tego czterech leśnych i 4-ech chłopaków.

Dzik był rano w niewielkim kawałku otropiony, zachodzimy tedy na stanowiska a leśny idzie za tropem. Dzika nie zastaliśmy, bo wyniósł się po otropieniu do sąsiedniego miotu. Obtropiono miot, nie wyszedł, a więc rozstawiamy się, tymczasem przysyła Szczepan leśny chłopaka, żeby zejść, bo ma dzika w małym kawałku gąszczu obciętego.

Zgodziliśmy się chętnie, bo nas było za mało na obstawienie większego miotu i obstawiliśmy wskazany gąszczyk. Dwóch gości postawiłem na drodze wgłębionej, na znanym mi przesmyku, prawie obok siebie, a my z leśnym poszliśmy na narożniki.

Trzech leśnych zajęło tył. Zaledwie leśny wszedł za tropem do gąszcza posłyszałem dwa strzały prawie bezpośrednio jeden po drugim. Przyszliśmy na strzał i dowie-

dzieliśmy się, że dzik wyszedł bezpośrednio na jednego z gości i tak wychodził z gąszcza, że prawie gwizdem dotknął twarzy myśliwego, ten usunął mu się i strzelił z boku, a drugi o 20 kroków wyżej stojący strzelił też. Obaj strzelali kulami chociaż z gładkich luf — dobrzy myśliwi — na tropie były cięte pióra, zaraz opodal farba, miałem tedy nadzieję, że dzika zaraz dostaniemy i już nawet zaproponowałem, żebyśmy się napili na trupa. Według tropu dobra sztuka wagi, około 100 kg, ale strzelcy nie byli w stanie oznaczyć, czy odyniec czy locha. Odczekaliśmy z pół godziny, potem idziemy za tropem, farba obfita, znać, że się dzik pokładał, ale idziemy ze 100 kroków a tu trop wciąż dalej prowadzi. Zaniechałem tedy dalszego tropienia i obcinaliśmy mioty, żeby sprawdzić, gdzie zaległ. Wreszcie obcięliśmy go w drugim końcu rewiru. Obstawiliśmy się naokoło, a 2 leśnych poszło z psami, które na wszelki wypadek wzięliśmy do miotu. Dzik chodził po miocie, zastawiał się dwom psom które się do niego brały, ale za zbliżeniem się leśnych posuwał się dalej.

Wieczór się już zrobił, na nikogo nie wyszedł, jednego psa ciął szablą w brzuch, ale tylko mięśnie uszkodził i nie wielką ranę zrobił. Nie było tedy co robić i zabraliśmy się do domu, a że nazajutrz 15-go była niedziela, zapowiedziałem, że na godzinę drugą będę w rewirze. Rano przyszedł leśny i doniósł, że dzik jest w gąszczu „Bochnakówka“ i że jeszcze wciąż farbi. Jeden z zaproszonych gości, który się zapóźnił i przyjechał już po obstawieniu miotu, w którym dzik był strzelany, został, wyszliśmy tedy we dwóch, bo leśniczy musiał wyjechać, zabrali ze sobą sześciu leśnych i trochę służby, którzy na ochotnika poszli.

Przypuszczając, że dzik nie będzie się już chciał łatwo przed psami ruszyć, zaproponowałem gościowi, żeby poszedł za psami w miot, a sam z leśnymi obstawiłem gąszcz. Gąszcz w Bochnakówce jest taki, jak w ogóle tylko w 15 do 20 letnich kulturach, powstałych z samosiewu napotkać można. Mimo najszczerszej chęci czołgając się na brzuchu nie był myśliwy w stanie wepchać się do gąszcza i dojść do dzika, który się psom zastawiał i wrócił się. Leśny też do niego dojść nie mógł, chłopi zrazu odważni, gdy słyszeli dojadanie psów i fuczenie dzika, obchodzili go. Zrobiło się ciemno, zwołaliśmy tedy psy i zostawili tedy dzika tam, gdzie był.

W poniedziałek przyjechałem na dziewiątą rano do lasu, gdzie mię leśni oczekiwali. Dzik został w Bochnakówce, tam gdzie dnia poprzedniego. Obstawiliśmy się na około gąszcza a leśny rewiru Szczepan poszedł na trop, sprawdzić, czy dzik wogóle jeszcze żyje, słyszał jego szelest, stwierdził, że przeszedł na świeże legowisko, wiedzieliśmy tedy, że żyje. Zabrałem ze sobą dwa tasaki i dwie siekiery, żeby módz się do gąszcza dostać i poleciłem puścić psy a dwom leśnym uzbrojonym w tasaki robić sobie do dzika drogę przez gąszcz. Dwa z puszczonych półogarów brały się do dzika doskonale i naszczekiwały wciąż. Dwóch leśnych Szczepan i Jan torowali sobie drogę do dzika tasakami bo dzik wciąż w jednym miejscu psom się oganiał. Zeszli się razem, naprzód posuwa się Szczepan, torując sobie drogę, za nim posuwał się Jan. Już byli tuż obok dzika, gdy ten wyskoczył, wywrócił Szczepana i chociaż Jan idący za nim strzelił doń kulą prawie przyłożywszy lufy do łba, zginął w gąszczu. Staliśmy naokoło, ale dzik się nawet nigdzie nie wychylił, choć był tuż podemną i słyszałem najwyraźniej, jak go pies szarpał.

Postanowiłem jeszcze raz spróbować szczęścia i posłałem znowu Michała i Szczepana leśnego, żeby robiąc sobie drogę dotarli do dzika i albo go dobili albo wygnali. Po przerąbaniu sobie drogi według głosu naszczekujących psów, dostali się wreszcie blizko do dzika. Michał szedł naprzód i rąbał drogę, za nim szedł chłopak, który mu niósł strzelbę, za tym zmęczony już rąbaniem Szczepan, z tyłu znowu jeden chłopak. Michał, który szedł przodem słyszy tuż przed sobą dzika, bierze od chłopaka strzelbę, odwodzi i klęka, żeby dołem gąszcza lepiej dzika dojrzeć, spostrzegł go i klęcząc składa się do niego, wtem dzik wyskakuje na niego i wskakuje między strzelbę a pasek — wywraca leśnego Michała, — ten trzyma za kolbę — dzik mając głowę zamotaną w rzemień od strzelby szarpie się — Szczepan nie ma już czasu wziąść strzelby i spycha go tasakiem z Michała — dzik ginie w gąszczu ze strzelbą.

Po tej awanturze wychodzą leśni i opowiadają o wypadku, za nimi wychodzi pies półogar „Wypłosz“, który dzika najlepiej trzymał z całkowicie rozprutym brzuchem i całe flaki się za nim wloką. Przedewszystkiem oglądnęliśmy psa, a nie widząc możności wyleczenia go, skróciliśmy jego męki, strzałem za ucho. Leśny Michał jest bez strzelby i nie wie, gdzie ją dzik poniósł, mówi, że mu dzik nic nie zrobił, ale na lewym udzie widać przecięte spodnie. Rany nie było żadnej, tylko skóra lekko draśnięta.

Widząc, że już trzeci dzień polujemy i mamy odyńca, który chociaż nie może uciekać, to jednak dobrze się broni, postanowiłem przeciąć na krzyż przez gąszcz dwie linie na metr szerokie, żeby można w czwartej części dzika obciąć i łatwiej się do niego dostać. Na przecinaniu tych linijek, zeszła nam reszta dnia.

We wtorek nie mógłem już sam pójść, bo musiałem wyjechać, ale leśniczy z leśnymi poszedł. Dzik się w nocy wyniósł z tej szalenie gęstej Bochnakówki, do sąsiedniego miotu został w niewielkim kawałku otropiony, ale znowu ruszyć się nie chciał, rzucił się jeszcze na Szczepana leśnego i rozdarł mu guńkę, legł jednak od jego kuli, która go ubezwładniła.

Był to średni odyniec 107 kg., po wypatroszeniu, szable wystawały $4^1/_2$ ctm. nad dziąsło, a po wyjęciu tworzą złożone koło o średnicy 12 ctm.

Najdawniejszy strzał miał w prawą łopatkę nisko. kulą cal. 16, od myśliwego, który stał powyżej. Kula strzaskała łopatkę, ale jej nie przebiła. Drugiej kuli dawniejszej nie było, a więc myśliwy, który miał najbliżej nie trafił. Kula leśnego Jana, ześliznęła się po czaszce i utkwiła w mięśniach karku.

Opisuję tę przygodę w „Łowcu“, bo to przecie rzadka rzecz, żeby dzika postrzelonego 14. listopada, dostać dopiero 17. listopada, chociaż się na niego 4 dni poluje, a leśni moi są zuchy i dzika się nie boją, mieliśmy go przecie wciąż w miotach 2 do 4 morgowych otropionego. Rzadszą jeszcze rzeczą jest, że dzik leśnemu zabrał strzelbę i poszedł z nią.

Za tropem musieliśmy przecinać linijkę i znaleźliśmy strzelbę nabitą z oboma kurkami odciągniętymi na 15 kroków od miejsca. gdzie ją porwał.

Dr. Jan Zduń.

Z obcych światów.

Polowania na grubego zwierza w Afryce środkowej, Edwarda Foà.

(Ciąg dalszy.)

Skończyłem prędko skromną ucztę i staję nieruchomo na stanowisku.

Światło księżyca oświetla mnie z lewej strony, widzę doskonale jeziorko skąpane w zielonawym blasku, dalej widzę ludzi moich na drzewie i zebrę, leżącą przedemną o jakich dziesięć metrów. Trzy otwory dość duże, ażeby się wychylić do połowy, służą mi za okna. Dodać muszę, że nasza kryjówka jest okropnie niebezpieczna i służy jedynie jako osłona, a nie jako obrona, bo przecież jedno silne uderzenie lwa rozniesie gałęzie i trawy w drobny mak. Trzeba wielkiej odwagi z naszej strony, aby się tak awanturować, ale *qui ne risque, n'a rien*. Mam to przekonanie, że lwy nadciągną niebawem. Zwierzęta muszą być głodne i wrócą do przerwanej uczty, jak tylko się uciszy.

Na zachodzie gasną ostatnie zorze, w oddali słychać rżenie żałosne zebry, co płacze i szuka swego towarzysza; potem głos milknie, zwolna oddala się i znów cisza... Tylko koniki polne ćwierkają po trawach, a piegże kują w drzewa; w jeziorku od czasu do czasu zarehocą żaby i milkną i znów cisza...

Tak przechodzi pół godziny.

Naraz słyszę najwyraźniej krzyk żałosny sowy, krzyk ten to specyalność Kambombego; towarzysze nasi z drzewa musieli już coś spostrzedz i ostrzegają nas. Wychylamy się z naszych okienek i rozglądamy wokoło, wytrzeszczając dobrze oczy, lecz nie widać nic. Księżyc zlewa na ziemie potoki światła bladego, równina cała, jak okiem sięgnąć, kąpie się w tym blasku, srebrzy, gdzieniegdzie tylko ciemnieją krzewy i zarośla. Zebra martwa widnieje, jak jakaś ciemna masa. Z lunetą nocną przy oczach przeglądam bacznie każdy cal ziemi i widzę wszystko, jak na dłoni, każdy najmniejszy krzaczek, każdą roślinę, brzegi wody, jednem słowem wszystko. Lecz nie widzę niebezpieczeństwa, widocznie nasi towarzysze ostrzegają nas o czemś niewidzialnem jeszcze dla oczu naszych i znów staję nieruchomy, nasłuchując. Od czasu do czasu tylko przykładam lunetę do oczu, może coś wreszcie zobaczę.

Jako broni użyję dziś expressu Nr. 1, a pod ręką mam jeszcze winchester z sześciu nabojami sarniego śrutu, w razie groźnego niebezpieczeństwa.

Moi dwaj towarzysze uzbrojeni są w expressy Nr. 2 i 303, lecz mają strzelać tylko w groźnej ostateczności, to jest w obronie życia; reszta ludzi, na drzewie, wcale strzelb nie ma.

W ciszy nocnej słychać powtórny krzyk sowy. Robię przegląd okolicy: nie widać nic nowego. Zmieniam posterunek i patrzę przez otwór w ścianie z lewej strony, a potem w głębi, lecz nie spostrzegam nic nowego. Wracam więc na dawniejsze stanowisko, na pierwszy rzut oka zebra wydaje mi się większą, niż była przed chwilą, zdawałoby się nawet, że zwolna łeb podnosi... Przykładam lunetę do oczu i po chwili widzę, że jakaś dzika bestya czai się, ale jaka, nie mam pojęcia... Może to hyena, a może lew?... trzeba czekać do czasu... cierpieć.

W tej chwili wiatr się zerwał i przelotne chmurki przysłoniły księżyc. Widzę jednak dość dobrze sylwetkę zwierza, widzę jego grzbiet, potem łeb, wpatrujemy się wszyscy, ja przez lunetę, ludzie moi gołem okiem, nic jednak rozpoznać nie możemy.

Zwierzę stoi nieruchomo.

Niezadługo zaczerniało coś w pobliżu, to towarzysz jego przybywa; obadwaj stają nieruchomo i patrzą w naszą stronę, zdziwieni zapewne pagórkiem, co wyrósł tak nagle z pod ziemi. Jeden z nich z głową wzniesioną idzie ku nam... staje w świetle księżyca...

Nie ma wątpliwości, to lwy!

Kładę czemprędzej lunetę i odwodzę pocichu kurki, zniżam lufę. W tej chwili odczuwam dziwne wrażenie, nie wiem, obawę, czy radość. Serce w piersiach bije mi jak młotem, podczas gdy jasna sylwetka zbliża się ku nam. Minąwszy zebrę, zatrzymuje się z głową wzniesioną; przygląda się widocznie naszej kryjówce, jakby zdziwiony jej obecnością. Widać doskonale jego grzbiet żółtawy i łeb w świetle księżyca, reszta tułowiu pogrążona w cieniu.

Wyprężeni jak struny, z zapartym oddechem w piersiach... czekamy. Lew popatrzył chwilę, a potem spuścił łeb i węszy ziemię, podejrzewając niebezpieczeństwo.

Przechodziliśmy tamtędy raz tylko i ślady stóp naszych muszą być zatarte, bo lew podniósł łeb i posunął się parę kroków naprzód. Tysiące myśli nagłych jak błyskawice przebiegają mi przez głowę, słyszę każde uderzenie serca... Jeśli zwierz okrąży naszą lepiankę, zwietrzy nas i nie będę mógł doń strzelić, jeśli ucieknie, całe polowanie stracone. Lepiej więc strzelić zanim posunie się bardziej na prawo, bo mogę go stracić z oczu.

Lew po jakimś czasie zatrzymuje się znów mniej więcej o jakich ośm metrów nawprost nas i patrzy w naszą stronę, lecz w tem miejscu jest cień i nic nie widzę. Zamiast iść na prawo, jak myślałem, zwierz robi jeszcze krok naprzód i węsząc ziemię, wydaje ryk potężny, krótki, ryk, który zdaje się ostrzegać towarzysza i mówić: — Baczność, niebezpieczeństwo blizko! — Podnosi łeb, spogląda ku nam i znów węszy. Skręca trochę w bok, na lewo i za naszym śladem posuwa się w stronę jeziorka; robi dwa, czy trzy kroki i staje.

W tej chwili widzę cały bok zwierza w pełnem świetle księżyca. Wysuwam bez szelestu lufę i mierzę przez czas jakiś... Każda sekunda wydaje mi się wiekiem, boję się złego strzału, a jeszcze bardziej tego, że lew może nam umknąć cało; nie wiem, czy mam strzelać czy czekać aż się przybliży.

Wreszcie, kierując się za cieniem, mierzę między przednie łapy — i palę... Usłyszałem tylko ryk przeciągły i nagle stała się rzecz straszna... oto czuję, jak gałęzie nad nami trzeszczą i zawalają się, przysypując nas ziemią i piaskiem... Leżymy nieruchomi.

Przez szparę widzę tylko białą smugę dymu, unoszącą się w wilgotnem powietrzu nocy, i obłok kurzu z rumowiska naszej lepianki.

Ładna historya! Położenie godne pozazdroszczenia. Rękami przytrzymuję walące mi się na głowę gałęzie i rozglądam się wokoło, ażeby zobaczyć, co się stało z rannym zwierzem, bo że go postrzeliłem, to rzecz pewna. Może jest gdzie koło nas. Ruszać się jest niebezpiecznie.

Ale jakoś nic nie słychać; wychylam najpierw głowę, potem jedną i drugą rękę, wreszcie wyłażę na czworakach z kryjówki; ludzie moi czynią to samo.

Żadnego niebezpieczeństwa niema... Oprócz kilku zadraśnień, nikt nie odniósł poważniejszej rany. Co się jednak stało? Widocznie lew, oślepiony przez ból, musiał, uciekając, otrzeć się o naszą kryjówkę, lub potrącił ją nogą, a że nie odznaczała się mocą, więc zawaliła się, przygniatając nas swym ciężarem. Po otrząśnięciu z piasku i wynalezieniu strzelb naszych, rozglądamy się wokoło, ale nic nie widać. Zwołujemy ludzi naszych z drzewa, przybiegają czemprędzej i zdają mi raport.

Pierwszy krzyk sowy ostrzegał nas, że lwy nadchodzą; przeszły pod drzewem, gdzie były ukryte, i okrążywszy wodę, zatrzymały się, długo patrząc w stronę zebry i naszej lepianki.

Drugi sygnał oznajmiał, że zwierzęta idą ku nam. Po wystrzale ludzie moi widzieli tylko jednego lwa, jak uciekał tąż samą drogą wolnym galopkiem, przystając raz po raz, jakby czekał na swego towarzysza. To też ludzie moi myśleli, skoro ich zawołałem, że lew został zabity na miejscu, a on tymczasem zniknął bez wieści.

Zapalamy garść trawy, ażeby odnaleść tropy, widzimy najpierw ślady pazurów, jak się lew zarył do skoku. Za naszą kryjówką widnieje duża struga krwi, nawet gałęzie lepianki są zbryzgane farbą od strony, gdzie lew w nią uderzył. Zdarza się dość często, że lew, otrzymawszy postrzał, chcąc się widocznie bronić przed napaścią, rob gwałtowny skok naprzód.

Wszyscy jesteśmy tego zdania, że lew jest raniony śmiertelnie i nie mógł odejść daleko. Ale jak go tu szukać bez wici i słomy? Światło księżyca do takiej wycieczki nie wystarcza; w dzień nawet jest to niebezpieczna wyprawa, a cóż dopiero wpośród ciemności, gdzie krzak każdy, każde drzewo zdaje się być czemś groźnem; narażać tak życie byłoby z mej strony nierozsądkiem.

Zgadzamy się jednogłośnie na to, ażeby poszukiwania odłożyć do jutra, gdy nagle przyszło mi na myśl, że jeśli lew padł, to hyeny, zwiedziawszy się o tem, zostawią nam do jutra tylko kości — jeszczeby tego brakowało!

Przypuszczenie moje podnieca ludzi, którzy wiedzą o tem, że jak niema skóry zwierza, to niema zapłaty, ni żadnej nagrody. Zwołujemy radę, co począć dalej. Staje na tem, ażeby jeszcze czekać, bo im dłużej czekamy, tem upływ krwi lwa bardziej wycieńcza.

Ja i jeden z ludzi zostajemy na miejscu, paląc fajki dla skrócenia sobie czasu, podczas gdy czterej towarzysze podążają do obozu po ognie bengalskie. Przy świetle zapałki napisałem list do Bertranda, prosząc go o posiłki, słomę, łuczywo i łuki.

Jak tylko ludzie moi wyruszyli w drogę i naokół zaległa cisza, usłyszeliśmy jakieś jęki żałosne od strony równiny, jęki te powtórzyły się raz jeszcze, a potem wszystko zmilkło. Nie wiem, czy to ptak nocny tak zakwilił, czy może hyena żerująca?

Nasłuchujemy, ale dokoła panuje cisza. Tak upływa godzina.

Księżyc powoli schodzi z horyzontu i może było koło 1-ej po północy, gdy usłyszeliśmy głosy w oddali, a potem z lasu wynurzyły się liczne światła — nadchodzących posiłków.

W chwilę potem cała nasza garstka wyrusza za tropem. Ludzie niosą płonące łuczywa, za nami zaś od czasu do czasu zapalają na długiej tyce zatknięte ognie bengalskie, płomień rozjaśnia całą okolicę; przy jego świetle przykładam do oczu lunetę i rozglądam się dokoła.

Szczęśliwym trafem dla nas, ogień wymiótł i wyniszczył całą okolicę, gdzieniegdzie tylko sterczą osmalone drzewa i badyle.

Po drodze znajdujemy kałuże krwi, ale rozrzucone w różnych kierunkach i to nam ogromnie utrudnia poszukiwania.

Cała nasza wyprawa musi fantastycznie wyglądać na tle nocy. Ludzie z płonącemi pochodniami, podobni do widm, błąkają się tu i owdzie, od czasu do czasu tylko błysk nagły ognia bengalskiego zaleje równinę, a potem znów ciemno... Tylko zapalone wici migają gdzieniegdzie.

Nie wiem, czy kto polował już kiedy w podobnych warunkach na lwa, bo że nie chcemy stracić jego skóry to rzecz najzupełniej słuszna — ale nadstawiać własnego grzbietu wśród ciemnej nocy na łaskę i niełaskę rozwścieczonego lwa, to zakrawa trochę na waryactwo z naszej strony.

Już z godzinę może włóczymy się za tropem. Uszliśmy ze sto metrów, gdy nagle nastała chwila tak straszna, że może do śmierci jej nie zapomnę.

Przy świetle ognia rozglądam się przez lunetę i nie widzę nic groźnego, gdy naraz, tuż przed sobą usłyszałem głuchy pomruk, który przechodzi w ryk wściekłości tak potężny, jak grzmot; zda się, że lada chwila rozwścieczona bestya rzuci się na nas w szalonym skoku.

Krew w żyłach ścięła mi się lodem, ludzie przerażeni przypadli do ziemi, gaszą światła... jeszcze chwila, a zginiemy... Ciemność zaległa, cisza, tylko słychać groźne mruczenie lwa, trzask gałęzi i szelest liści, może o jakich pięćdziesiąt metrów przed nami.

Tymczasem księżyc zaszedł i okryła nas noc ciemna.

W chwili ogólnego przerażenia ruchem naturalnym istot, które jak ja nie widzą w nocy, umknąłem w bok trochę na lewo, przed pościgiem zwierza, potem zaś, nie słysząc już nic, przykucnąłem niziutko z bronią w rękach i wytężyłem wzrok, ażeby dojrzeć, czy się co nie zbliża.

W jakiś czas usłyszałem pomruk lwa najpierw z prawej strony, potem nawprost mnie, następnie mruczenie cichło, jakby się zwierz oddalał...

Świsnąłem zcicha, głos podobny odpowiedział mi w pobliżu i jakaś masa czarna, którą mogłem wziąć doskonale za lwa, zbliżyła się do mnie na czworakach, za nią druga i trzecia.. to ludzie moi ściągali do mnie. Zebraliśmy się wszyscy, skuleni, skurczeni przy ziemi, bez ognia, bez zapałki wobec rannego lwa, co krąży w pobliżu

Położenie rozpaczliwe.

Umknąć nie sposób, bo lew widzi w ciemności doskonale, podczas gdy my idziemy poomacku. Lepiej pozostać na miejscu i nasłuchiwać i czekać.

Tak przechodzi noc, rosa wilgotna pada na nas, sprawiając chłód przyjemny, a ciągłe ryki i jęki lwa kołyszą nas do snu.

Nad ranem towarzysz naszego rannego wraca i przechodzi tuż koło dwóch ludzi, którzy skryli się na niewielkiem osmalonem drzewku, tak blizko, że czasami o mało co ze strachu nie pospadali.

Przeszedł przez równinę i zaczął krążyć wkoło nas, mrucząc złowrogo. To powiększa jeszcze grozę położenia. Dużobym dał za to, ażeby słońce wzeszło dziś wcześniej, niż zwykle.

Jakoż nareszcie na skraju horyzontu ukazał się wązki pasek świtu, potem różowa zorza weszła i rozjaśniła okolicę swym blaskiem.

Rozglądam się wokoło po równinie, widzę naszą rozwaloną kryjówkę, dalej jeziorko i zebrę rozciągniętą na brzegu, przed nami czernieją krzaki.

Już czas na nas, tym razem widzimy już dobrze, dalej do dzieła! Biorę karabin 303-ci, ocieram z lufy rosę perlistą i puszczam się za tropem. Naokoło kałuże krwi świadczą, gdzie lew spoczywał, ślady te prowadzą do zarośli, gdzie zwierz musiał się ukryć, zatrzymuję się o kilka metrów przed krzakami i każę rzucać bryły ziemi do środka.

Jakoż po chwili krzewy zaczynają się poruszać, chylą się, lew chce widocznie wyjść drugą stroną.

Okrążam zarośla i zabiegam mu drogę... stajemy oko w oko.

Jednem spojrzeniem obejmuję całą sytuacyę. Lew już nie jest niebezpieczny, dogorywa, postępuje zwolna, chwiejąc się, cały zbryzgany krwią skrzepłą, rozwarł paszczę szeroko i mrucząc zcicha, patrzy na mnie.

Strzelam, kładąc koniec jego mękom.

Nieszczęśliwy zwierz musiał stracić masę krwi, cały jest nią zbroczony.

Kula weszła powyżej serca, przeszyła płuca i wyszła z drugiej strony robiąc spory otwór.

Ile doznałem emocyi i wrażeń, trudno sobie wyobrazić, to też nocy dzisiejszej chyba nigdy nie zapomnę. Wczorajszy dzień był bardzo męczący, opadliśmy z sił zupełnie, to też, nie czekając nocy, wróciłem do namiotu i położyłem się spać natychmiast. Niezadługo potem lew wszedł tryumfująco do obozu.

Widząc w menażeryach różne okazy lwiego rodu, nie można sobie poprostu wystawić, jak wspaniale przedstawia się ten król puszczy wśród dzikiej natury. Zdobycz moja dzisiejsza jest przepysznym okazem, strzał mi się udał, jestem z siebie zadowolony, a ofiara waży 200 do 250 kilogramów, jest na metr wysoka, a na dwa długa.

Lwy, które rozszarpały zebrę, od pewnego czasu urządzały łowy w okolicy. Było ich cztery; jednego przedwczoraj uśmierciłem, pozostała zaś trójka szerzyła w dalszym ciągu spustoszenie. Podczas całego naszego tutaj pobytu nie spotkaliśmy ich jednak ani razu, mimo czat i zasadzki, którą urządziłem przy zaduszonym przez nich bawole. Lwy chodziły w nocy i krążyły około ofiary, lecz nie podchodziły blizko, może poczuły nas. Musiała być jednak inna tego przyczyna; odgadnąć jej atoli nie mogę, bo przekonałem się nieraz, że lwom, gdy są głodne, nic w jedzeniu nie przeszkadza.

Bawołu, o którym wyżej wspominałem, odkryłem w dość ciekawych okolicznościach. Pewnego rana, w cztery, czy pięć dni po zabiciu lwa, spostrzegliśmy całą chmarę sępów, wysoko bujających i zakreślających szerokie koła; widocznem było, że znalazły jakieś nieżywe zwierzę lub jego szczątki. Ponieważ, posuwając się w kierunku sępów, nie zbaczamy z drogi, postanowiłem przekonać się, co za ofiara ściąga tak drapieżne ptactwo. Posuwając się zwolna, natrafiamy na zaciszne ustronie, zarosłe gęstwiną drzew i krzewów, gdzie na gałęziach rozsiadła się już moc sępów. Widocznie coś przeszkadza ptakom w rozpoczęciu uczty. Ale co? Nieraz słyszałem, że przy padlinie można spotkać i duże zwierzęta żerujące; nakazuję ludziom spokój i posuwamy się w milczeniu, broń nabitą trzymamy w ręce, palec na cynglu i wypatrujemy zwierza. Nagle słyszymy pomruk krótki w zaroślach, łamanie gałęzi i..... zwierzęta umknęły.

Zbliżywszy się do bawołu, przekonaliśmy się, że ma brzuch rozpruty i wnętrzności wyjedzone, prócz tego w kilku miejscach, szczególniej na udach, mięso do kości obdarte.

Trzy lwy, których ślady znaleźliśmy w pobliżu, zajęte były tą krwawą ucztą; posłyszawszy nasze kroki, umknęły. Choć już późno, kryjemy się jednak w pobliżu, w nadziei, że lwy powrócą do przerwanej uczty. Kilka godzin mija w ciszy i milczeniu, a sępy, niezadowolone z naszej obecności, obsiadły poblizkie gałęzie, czekając także. Nie wzrusza mnie niecierpliwość ptaków, bo mając zamiar urządzić w nocy zasadzkę na lwy, kazałem bawołu nakryć liśćmi.

Wśród drzew urządzamy kryjówkę z gałęzi i ziemi, starając się, aby tym razem była mocna i bezpieczniejsza, niż ta nad jeziorem. Cała nasza praca była daremną, gdyż, jak wyżej nadmieniłem, zwierzęta nie wróciły, i nie widzieliśmy nawet lwiego ogona. Opuszczamy nasze nocne obozowisko, zostawiając bawoła sępom na pożarcie.

Ptaki drapieżne odgrywają ważną rolę w życiu myśliwego afrykańskiego; nieraz, krążąc w przestworzach, wskazują mu miejsce, gdzie się jego postrzelona lub zabita zwierzyna zawieruszyła. Ptaki te są wszędzie, spotykamy je na każdym kroku.

Ledwie zwierz padnie, a już nie wiadomo zkąd przelatuje nad nim sęp, niby przypadkiem, zawsze gotowy rzucić się na naszą zdobycz, zepsuć ją i zniszczyć.

Najlepiej jest przykryć zwierzynę grubą warstwą liści, wtedy można oddalić się spokojnie, bo sępy jej nie dostrzegą. Nie mówię w tym razie o słoniach, bo dla tych zwierząt najlepszym pancerzem jest skóra własna. Żaden najpotężniejszy dziób ptasi nie podoła. Już z antylopą idzie drapieżnikom trudniej, ale tu dają sobie jakoś radę, napoczynając skórę od dołu brzucha, w miejscach gdzie jest najcieńsza.

Zrobiwszy otwór, wypuszczają wnętrzności, pożerają je, następnie wchodzą przez wyprutą dziurę do jamy brzusznej i objadają wewnątrz mięso, aż do skóry; czasami po parę lub więcej sępów włazi do środka, zależy to od wzrostu antylopy. Reszta zaś drapieżnych ptaków rzuca się na wierzch i pożera oczy, język i nozdrza.

Skoro myśliwy wytropi ubitego zwierza, i podąża pełen nadziei, zastaje antylopę na pozór nietkniętą, lecz po chwili sępy jeden po drugim wyłażą z jej wnętrza i, najedzone, wznoszą się ciężko w górę. Myśliwemu zaś, w nagrodę trudów, zostaje skóra i.... kości.

Ta odmiana sępów nosi nazwę *busard-dindon*, z powodu korali, które ozdabiają im szyję, a także od tego, że te „magoras" [1]), bijąc się przy padlinie, wydają głosy podobne do gulgotania naszego indyka i chodzą, jak on niezgrabnie, chwiejąc się na obie strony. To mi przypomina farsę, jaką urządziliśmy w Dahomeju pewnemu kapitanowi statku włoskiego. Będąc w dobrych humorach, posłaliśmy mu w prezencie cztery sępy busard-dindon nazwane tam „akrassu" i używane w okolicy do oczyszczania ziemi ze zgniłych odpadków.

Poczciwy Włoch zjadł ptaki w dobrej wierze i odpowiedział na nasz bilecik z zapytaniem, jak mu pieczyste smakowało: *„Un poco dure, ma buonissime"*, (trochę twarde, lecz wyśmienite); dodał jeszcze, że zachował dwa na uroczystość Bożego Narodzenia w Castellamare (Neapol).

Nie myśleliśmy, żeby nam się tak żart udał. Żart ten został w naszej pamięci, a ilekroć mówiono o jakiej wspaniałej uczcie, dodawaliśmy zawsze:

— To nie żarty były, nawet „akraśsu“ z truflami. Nieraz chciałem jeść te „indyki“, w chwilach jednak największej nędzy i głodu nie mogłem przemódz obrzydzenia, przypominając sobie, że te ptaki żywią się zgniłemi odpadkami, a oprócz tego mięso ich czuć zgnilizną.

Istnieje jeszcze inny gatunek sępów, w braku innej nazwy, dano mu miano „sępa o białym brzuchu“. Ptak to trochę większy od „busard“, o głowie nagiej, z rąbkiem białych piór na szyi, piersiach i skrzydłach. Sęp „busard“ dochodzi wielkości 1 m. 75; drugi zaś gatunek dosięga 2-ch metrów. Samiec „busard-dindon“ ma łeb obrosły białem pierzem, samica zaś biało-brzucha, ma głowę nagą.

Istnieje tu powszechne mniemanie (mówiąc nawiasem, zupełnie fałszywe), że ptaki te mają węch nadzwyczaj delikatny i wyszukują zdobyczy; krajowcy nawet mówią, że ptaki odgadują węchem, gdzie mogą znaleść pożywienie. W tym celu badałem obyczaje sępów przez czas dłuższy i przekonałem się, że ptaki te nie mają węchu, lecz są obdarzone znakomitym wzrokiem.

Stwierdziłem to kilkakrotnie w następujący sposób: przykryłem padlinę grubą warstwą liści, sępy nie dostrzegły jej i pozostawiły nietkniętą. Wiedzą o tem najlepiej lwy, które przed wzrokiem drapieżnego ptactwa ukrywają swe ofiary w gęste zarośla. Gdyby sęp miał węch, odkryłby ofiarę, a tak powyższy manewr lwom się udaje.

Wzroku można sępom pozazdrościć, wznoszą się bardzo wysoko, tak, że ich dostrzedz niepodobna, i z tej wysokości widzą krew lub leżącą ofiarę i w jednej chwili zlatują się całe chmary ptactwa drapieżnego.

Do ptaków żywiących się padliną należy także „marabut“. Znany w Afryce na porzeczu Zambezu, przebiega wzdłuż i wszerz płaskowzgórza na swoich długich nogach i szuka padliny, a gdy jej zbraknie, brodzi po błotach i rzekach, szukając żeru. Marabut był tępiony bardzo dla piór, jakie ma w ogonie. Pióra te puszyste stanowiły ozdobę kapeluszy największych elegantek. Dziś pierwsze miejsce zajął struś.

Wszystkie trzy gatunki powyżej wymienionych ptaków bujają nadzwyczaj wysoko. Najwyżej w obłokach „marabut“, potem sęp biało-brzuch, a najniżej sokół, ale i tego dojrzeć nie można, gdy się wzniesie wysoko. Shoro ptaki wynajdą jakąś zdobycz, sokoły pierwsze nadlatują jako najśmielsze, zataczając szerokie koła w powietrzu, drugiemi są sępy biało-brzuchy, a następnie marabuty.

Lecz na ziemi porządek się zmienia, marabut ze swemi długiemi nogami odpędza dziobem innych towarzyszów i pierwszy zabiera się do uczty. Reszta ptaków w przyzwoitem oddaleniu czeka na swą kolej, bo brodzące mają tu pierwszeństwo.

Dodam jeszcze jeden ciekawy okaz ptaka do mekolekcyi, jest nim „nyagomba“, który bezustannie nawołując się, wydaje zabawny głos: diti, diti, dutu, dutu. Śledziłem i wypatrywałem te ptaki, aby coś ciekawego napisać o ich zwyczajach. „Nyagomba“ żywi się ślimakami i mięczakami wszelkiego rodzaju, a nawet i żółwiami.

Wiemy, jak twardą skorupę mają żółwie, zdaje się nieprawdopodobnem, aby ptak swoim dzióbem mógł ją skruszyć, a jednak „nyangomba“ doskonale sobie radzi. Łapą przytrzymuje z wierzchu żółwia, a dziobem wali w pancerz w jedno miejsce, z regularnością młota parowego, dopóty, dopóki nie wybijemy dziury. Przez wybite okienko zabiera się do zjedzenia żywego jeszcze żółwia.

„Nyangomba“ bywa tak duży, jak nasz indyk, ma pierze czarne, a na głowie ozdobę z piór czerwonych, samice zaś są szare, oczy mają piwne, ocienione długą rzęsą na podobieństwo człowieka. Żyją w wysokich trawach i na kamienistych równinach.

Możnaby napisać całe towy o dziwacznych obyczajach tutejszej fauny, zostawiam jednak tę pracę naturaistom, nie mając potemu ni czasu, ni miejsca.

Doszliśmy do kulminacyjnego punktu polowania, gdzie myśliwi żyją jakby w ciągłej gorączce: to pora nocnych czatów i zasadzek na lwy, lamparty i nosorożce. Oczekuje się na nich przy nielicznych jeziorkach i błotach, gdzie przychodzą pić. Nie mówię tu o polowaniu na słonie, zwierzęta te są bardzo przezorne i nie dadzą się tak łatwo podejść. Podczas ośmioletniego mojego pobytu w puszczach raz zaledwie na nocnych czatach mogłem je widzieć.

Skoro rok jest bardzo suchy, to jest gdy deszcze ulewne przestają wcześnie padać, już we wrześniu poiska ograniczają się, jak wyżej wspomniałem, do kilku jezior i błot, tu i owdzie rozrzuconych po kraju. Wtedy to można poznać doskonale całą okoliczną zwierzynę, postępując roztropnie i przebiegle.

Ułożyłem doskonały plan moich łowów nocnych, który podaję w całości.

Zaraz z wieczora coraz to w innem miejscu urządzam zasadzki i czaty, biorąc do pomocy po dwóch moich ludzi i zmieniając ich kolejno.

Jednej nocy są Rodzani i Msiambiri, drugiej Tambarika i Kambombe, trzeciej Tszigallo i jeden z czarnego plemienia, naturalnie najsprytniejszy, bo kolej coraz się zmienia.

Jeśli nie było pogoni, rano wracałem do obozu. Kąpiel orzeźwiająca, śniadanie, a potem sen w ustronnem miejscu, pokrzepiają moje siły. Ludzie, zmieniając się, pilnowali mnie podczas snu. O trzeciej wstaję, o czwartej obiad, a potem wyruszam na łowy, aby przed zmrokiem być na stanowisku. Niektórych lat przez czterdzieści dni lub więcej mogłem takie życie prowadzić, robiąc z dnia noc i naodwrót.

Prócz tego miałem parę oddziałów, które w dzień wysyłałem na zwiady. Wychodziły one o świcie a wracały koło trzeciej i zdawały szczegółowy raport o tem, co się w okolicy dzieje.

Obecnie znajdujemy się na południu kraju Angonis w pasie, gdzie zwierzyny obfitość wielka, a na przestrzeni 50-ciu kilometrów są tylko cztery poiska, jest to okoliczność wielce dla nas sprzyjająca. Wokoło mamy lasy, równiny, pagórki, piaski i grunta kamieniste, jednem słowem, kraina wymarzona dla zwierząt wszelkiego rodzaju.

W środku tego królestwa leży nasz obóz nad brzegiem jeziora. Dla uniknięcia trudnych tutejszych nazw, nazwę jeziora podług położenia geograficznego. Jedno z nich leżało na północ od obozu o jakie półtorej godziny drogi, dwa inne na południe od nas, nazwane: „duże południowe“ o trzy kwadranse drogi i „małe południowe“ o dwie godziny drogi oddalone od obozu.

Zaraz pierwszego dnia zwiedziliśmy wszystkie jeziorka i zmierzyliśmy znalezione tropy źdźbłami słomy. Nogi zwierząt są jak ludzkie twarze, nie ma dwóch zupełnie jednakowych. Ludzie moi, wracając ze zwiadów, przynosili mi słomiane miary i mówili mi, jakie zwierzęta były u wody tej nocy. W przeciągu tygodnia wiedzieliśmy, jaka zwierzyna znajduje się w całej okolicy

To prawdziwa przyjemność widzieć, z jaką przebiegłością i sprytem moi czarni zabierają się do wypatrywania i sprawdzania tropów. Wszyscy moi strzelcy stanowią śmietankę strzelców krajowych afrykańskich, w sprycie nikt im nie dorówna.

Każdy oddział miał wyznaczone jeziorko i pas ziemi okolicznej, który codziennie przepatrywał, plondrował, sprawdzał dawniejsze tropy i odnajdywał nowe.

Tym sposobem żadna najmniejsza zmiana, zaszła w nocy, nie uszła ich bacznej uwagi. Przytem rywalizacya między oddziałami śledczemi bywała wielka, każdy się starał o najdokładniejsze wiadomości, na czem ja wychodziłem najlepiej. Gdyby zdarzyło się coś nadzwyczajnego, obowiązani byli uprzedzić mnie natychmiast, a tak wracali do obozu od dziewiątej rano do dwunastej.

Wróciwszy, musieli mi zdawać dokładny raport i nieraz wynikały zabawne spory i sprzeczki,

Dla oryginalności podaję jedną taką rozmowę:

— No, cóż tam nowego? — pytam.

Pierwszy oddział odpowiada:

— Mały nosorożec pił dzisiaj w nocy, nowych śladów nie ma, lew nie przyszedł.

Drugi oddział:

— Lew przyszedł pić do nas i mały nosorożec także.

Pierwszy oddział:

— To nieprawda, bo uciekł w drugą stronę, szliśmy za nim aż do pagórków.

Drugi oddział:

— A właśnie, że był u nas, widzieliśmy go wszyscy.

(Śmiechy powątpiewania i drwiny w pierwszym oddziale).

Przerywam dysputę pytaniem:

— Gdzie macie słomki?

— Oto są.

Mierzę je, porównywam i przekonałem się, że ocydwa oddziały mówią o jednem i tem samem zwierzęciu.

Drugi oddział tryumfuje:

— Aha, widzicie! Tylko wy znacie łapy?

Pierwszy oddział z pogardą:

– Wasze tropy nie są dzisiejsze, tylko wczorajsze, co tu długo gadać.

Drugi oddział:

— Jakto nie dzisiejsze? Lepiej wam powiem, bo rańsze, a bo wy się na tem znacie!

(Ogólna wrzawa).

— No, dobrze jest — przerywam — Tambarika pójdzie i sprawdzi, kto ma słuszność.

Trzeci oddział:

— Lew pił jeszcze tej nocy, już prawie trzeci raz w tem samem miejscu, a w okolicy rozszarpał kozła, którego dziś rano dokończyły sępy. Ale widzieliśmy palap'ala (antylopa czarna), wielką, straszną.

Już wiem dobrze, co to znaczy ta wielka, straszna. dzicy mają zwyczaj wszystko przesadzać i ze zwyczajnych zwierząt robią straszliwe potwory; znając się na tem, w podobne opowiadania nie wierzę. Zapisuję tylko w notesie cały dzisiejszy raport.

Popołudniu wraca ze zwiadów Tambarika i cóż się okazuje: pierwszy oddział miał racyę, tropy są dawne, wczorajsze. Drugi oddział pognębiony, wszyscy zasypują ich drwinami, wymyślają od dzikich (*asimbea)* niedołęgów, co nawet tropów rozróżnić nie umieją.

Zachęcony opowiadaniem trzeciego oddziału, że lew pił aż trzy razy wodę w tem samem miejscu, urządzam wyprawę, pełen nadziei zwycięstwa; ale wracam z niczem, lwa nie było.

Lew i nosorożec nie mają jednakowych zwyczajów Pierwszy przez czas dłuższy będzie wracał do jednego i tego samego poiska, podczas gdy drugi więcej niż dwa razy nie przyjdzie do tego samego jeziorka, jeśli wie, że drugie jest w pobliżu Zamierzałem pozostać czas dłuższy w tej okolicy, dlatego więc nad każdem jeziorkiem urządziłem zasadzkę i schronisko dla siebie i ludzi, to jest lepiankę z chrustu i piasku, lub też rodzaj okopu z kamieni i ziemi, usypanego tak, aby schronił nas od napaści z tyłu.

Najczęściej chroniłem się na mrowiskach, których nad brzegiem jest mnóstwo; tworzą one dokoła wody kopiec dość wysoki. Urządzałem na wierzchu siedzenie które zewsząd kazałem otoczyć gałęziami, aby nie być napadniętym z boku [2].

Inne konieczne warunki do dobrej zasadzki są: nie znajdować się na wietrze, aby nas zwierzęta nie poczuły, trzymać się na uboczu, a nigdy na linii, którą zwykle zwierzyna do poiska podąża, nie strzelać z wysoka, bo w takim razie o pudło nietrudno. Nieraz w braku mrowisk zasiadałem się na drzewach, lecz ciężko za to odpokutowałem, bo prócz jednej korzyści, a mianowicie, że zwierzęta poczuć nas nie mogą, żadnej innej nie miałem.

Na drzewie z każdym ruchem rachować się trzeba, jest się skrępowanym, a co najgorsza, to obawa, aby nie spaść i hałasu nie narobić. Następnie, niepodobna wdrapać się na wysokie drzewa, wybieraliśmy niższe, powykrzywiane, które nas od niebezpieczeństwa nie chroniły.

Pamiętam raz, lampart, postrzelony przezemnie, rzucił się rozpaczliwym ruchem na takie drzewo, wstrząsnął niem silnie, a my pospadaliśmy na ziemię.

Przerażony tym widokiem, zaczął uciekać i to nas od nieszczęścia uchroniło. Daleko lepiej oczekiwać zwierza na ziemi, bo można szukać ratunku w ucieczce. Tej myśli chwyta się każdy człowiek, gdy widzi, że niebezpieczeństwo jest groźne i że za chwilę może się znaleźć w uścisku drapieżnej bestyi.

Powoli jednak można otrzaskać się i przyzwyczaić do wszystkiego, nawet do wrażeń, doznanych w puszczy.

W początkach moich nocnych łowów, wtedy gdy było ciemno dokoła, strach mnie taki ogarniał, że spadający liść, szelest najmniejszy, sprowadzały bicie serca i byłem jakby w ciągłej gorączce. Okolica nieznana, cisza nocna i oczekiwanie ciągłe na dzikiego gościa w nędznej kryjówce, niemało się do tego przyczyniały.

I teraz jeszcze, po dłuższym czasie i niby oswojeniu z niebezpieczeństwem, truchlejemy na szelest najmniejszy; raz antylopa, pijąca wodę, przestraszyła nas bardzo, ale w nocy każda rzecz nieznana przybiera rozmiary olbrzyma.

Jeżeli polowanie w dzień biały zależy od zręczności, celnego oka, lub szczęśliwego trafu, to w nocy potrzeba dużo cierpliwości i zimnej krwi, aby wytrzymać, wyczekać na zwierzę.

C. d. n.

Korespondencye.

Łukawica niżna, 12. listopada 1903.

Polowałem w Rozhurczu, gdzie odbyło się polowanie dn. 9. b. m. w strzelb 14, dn. 10. b. m. w strzelb 13, dn. 11. b. m. w strzelb 10. Padło 17 dzików, 11 rogaczy, 32 lisów, 24 zajęcy, jarząbków 2, słonka 1, sowa 1.

W. B.

Złoczów, dnia 13. listopada 1903.

W dzień św. Huberta odbyło się polowanie w Muszkatówce pod Borszczowem, które ze względu na wczesną jeszcze porę, gdzie zając przeważnie w polu, można nazwać bardzo udałem, gdyż na rozkładzie był 1 lis, cztery kozły i 43 zajęcy.

Specyalnie ostatni miot w rewirze, zwanym kontrowersem, był wspaniały a na słuchającego mógł robić wrażenie żwawej utarczki leśnej.

Ogółem padło 150 strzałów, ale stąd nie powinno się wnioskować o złem strzelaniu myśliwych, gdyż gąszcz wielki, nie zupełnie jeszcze ogołocony z liści, ogromnie utrudniał wczesne spostrzeżenie zwierza, zwłaszcza rozpoznawanie kozłów a na mokrym liściu nie słychać było zbliżania się, toteż strzały na wąskich liniach bardzo były trudne. Zresztą myśliwi borszczowscy mają ustaloną opinię i wiadomem jest czytelnikom „Łowca“ jak pilnie sport strzelania łowieckiego uprawiają.

Gospodarzem był p. rejent Witosławski, którego serdeczna gościnność wielce się przyczyniała do uprzyjemnienia tego zajmującego polowania a zwłaszcza podczas śniadania po kontrowersie humory były świetne.

Tu muszę nadmienić, że w Borszczowskiem już duch postępu przeniknął przeważną część właścicieli polowań i łowiectwo jest tam poważnie traktowane. O ile się mogłem dowiedzieć, to wszyscy prawie właściciele polowań dbają o pilną straż i karmę dla zwierzyny w zimie a lizawki dla sarn podnoszą ich rozmnożę i stan zdrowotny, to też nie dziw, że w każdym miocie widok sarn radował oczy myśliwych. Zwłaszcza polowania pp. Feldszuhów w samym Borszczowie i Zalesiu, jakoteż pp. Jawetzów w Korolówce są doskonale prowadzone, że już nie wspomnę o większych posiadłościach hr. Baworowskiego, hr. Gołuchowskiego i t. d.

Dnia 10. bm. polowano w Pleśnianach i Urlowie a polowanie to nazwać można specyalnie lisiem.

Pleśniański lasek, to kniejka miniaturowa około 20—30 morgów, ale położenie jej wśród obszernych pól ściąga tam dużo zajęcy i lisów. — Z powodu pogody w nocy z poniedziałku na wtorek wyniosły się zające w pole, a troskliwy o swe futerko mykita nie obawiał się go zmoczyć w piękny poranek wtorkowy i używał spaceru w lesie. Zaskoczony przez nagonkę zdala od swej jamy wypadał na myśliwych, sprawiając im serdeczną uciechę, gdyż chyba nikt mi nie zaprzeczy, że strzał do lisa więcej sprawia emocyi niż inny.

W małym lasku pleśniańskim padły 4 lisy i 3 zające, jeden lis mocno postrzelony uszedł a dwa lisy i kilkanaście zajęcy bez strzału salwowały się w pole. Rezultat to świetny na tak mały lasek i 6 strzelb.

Stąd pojechano do leśniczówki w lesie urlowskim a po krótkiem, ale wydatnem śniadanku udała się drużyna myśliwych, wzmocniona o dwóch nowych czcicieli Huberta, do kniei urlowskiej. W kniei tej niewielkiej, bo ledwie 160—170 morgów obejmującej, pada zwykle 25—30 zajęcy ale jak już wyżej wspomniałem pogoda wywiodła je w pole, co jednakże myśliwym nie psuło humoru, gdyż nie było ani jednego, któryby czegoś nie uśmiercił a strzały do lisów i gęste ukazywanie się tychże przed stanowiskami elektryzowały wszystkich. Na końcowym rozkładzie był kozioł, 6 lisów i 12 zajęcy.

Polowanie prowadził, znany czytelnikom „Łowca“ z korespondencyi i krotochwilnych wierszyków, p. Korpak, ze znajomością rzeczy i zwyczajnym u niego humorem.

Po polowaniu udała się cała drużyna na zaproszenie gospodarza p. Wierzchlejskiego do dworu w Kabarowcach, gdzie ochocza zabawa, uświetniona towarzystwem uroczych pań, przeciągnęła się do późna.

Ktokolwiek z czytelników polował raz w Urlowie, lub Kabarowcach, ten przy czytaniu tych wierszy z wdzięcznością wspomni o serdecznym, prawdziwie po staropolsku gościnnym gospodarzu.

Kończąc niniejszą korespondencyę zasyłam obu gospodarzom polowania serdeczne „Bóg zapłać!“ —

R.

Klimkówka, 16. listopada 1903.

Jelenie w Krośnieńskiem: Firma Thonetów w Barwinku za Duklą ogrodziła 100^2 m. lasu i sprowadziła z Czech czy Moraw kilkanaście sztuk jeleni. Dotychczas nadeszło do stacyi Iwonicz 9 pak, w każdej jedna sztuka, 6 krów a trzy byki. Okazy ważą z paką 450 klgr. Każda paka na osobnym wozie przewożona 6 mil końmi do Barwinka. Ogrodzenie jest w ten sposób zrobione, że do niego przechodnie jelenie wskoczyć mogą, lecz nie wyjść. Mają przyjść jeszcze dalsze transporta tych wspaniałych zwierząt.

St. Ostaszewski.

Pomorzany 20. listopada 1903.

Donoszę o dalszych postępach wścieklizny lisów i borsuków w kącie powiatu złoczowskiego, dotykającego do powiatu Brzeżany. — Wypadki te podaję z okolicy Pomorzan i przyległej do dóbr tutejszych majętności skarbu brzeżańskiego, Koniuchy.

We wrześniu znalazł leśny Stach Biernacki na zrębie w rewirze Hodów nieżywego, chudego borsuka. W tymże miesiącu znalazł w tym samym rewirze leśny Antoni Stachów 2 borsuki nieżywe na zrębie daleko od jam. Jeden z nich był cały, ale wychudzony, drugi już roztoczony przez robactwo.

Jest prawdopodobne, że po ukąszeniu przez wściekłego lisa — po przejściu choroby i zparaliżowaniu krzyżów poginęły.

Dalej 18. września zabił włościanin z Kalnego, Oleksa Szczerbań lisa wściekłego, który w dzień uganiał się za gęśmi, chcąc je kąsać — a nawet jego syna (Szczerbania) złapał za spodnie chcąc, go ugryść w nogę. — Lis był chudy, stary, wynędzniały. Fakt ten sprawdził podleśniczy Wojciechowski — lisa zaś zakopał ze skórą głęboko w ziemi.

12. listopada 1903, w dzień wpadł lis wściekły we wsi Hodów, na podwórze Oleksy Zagowskiego i gryzł się z jego psem. Na ten fakt nadbiegli inni włościanie, jak Wasyl Zajszły i Filip Steć i zabili lisa kijami. Lis był chudy, nędzny, żołądek pusty. Powyższy fakt sprawdził podleśniczy Wojciechowski, a lisa sekcyonował i zakopał.

13. listopada 1903, w Rozhadowie zabił włościanin Antoni Kowal na swojem podwórzu lisa wściekłego, który uganiał w dzień za drobiem, chcąc kąsać. Lis był chudy, nędzny, zaśliniony. Został zakopany ze skórą; doniósł to i sprawdził leśny Stefan Semczyszyn z Rozhadowa. — Dnia 15. listopada 1903, poszedł pastuch leśnego Semczyszyn do parowu, gdzie są lisie jamy po pręt z leszczyny na laskę. Lis wypadł z parowu i szarpał go za płótniankę i chciał kąsać. Pastuch bronił się prętem.

P. poczmistrz w Pomorzanach Zauderer doniósł mi, że opowiadał mu chłop przynoszący pocztę — iż w obok położonych Koniuchach, wieś i rewir skarbu Brzeżany, również się pokazują wściekłe lisy.

Jeden włościanin miał zabić w dzień na podwórzu wściekłego lisa, rzucającego się na drób i ludzi. W lesie rewiru Koniuchy ukąsił lis wściekły dozorcę lasowego Podwińskiego w łydkę z tyłu, gdy przez swój oddział przechodził. Czy ukąszenie było do krwi, tego nie wiem i czy dozorcę gdzie odesłano na kuracyę, tego jeszcze nie dowiedziałem się.

Wczoraj również dowiedziałem się, że 2 chłopcy z Hodowa sprzedawali w Pomorzanach skórkę z lisa; zapewne znaleziono nieżywego lisa lub go zabito wściekłego. Nie omieszkam to sprawdzić i doniosę szanownej Redakcyi.

Upraszam i innych kolegów myśliwych powiatu złoczowskiego i brzeżańskiego, by szan. Redakcyi podawali wiadomości o postępie i rozszerzeniu się wścieklizny lisów i borsuków. Również należy ostrzegać o tem ludność, mieszkającą obok lasów. Donoszę również zan. Redakcyi, że dziki w tym roku już wczesną jesienią przychodziły do nas we większej ilości z sąsiednich lasów brzeżańskich i dunajowskich, jak lat poprzednich.

Miałem nawet ten zaszczyt, że i moje kartofle odwiedziły, tak, że z jednego kawałka ledwie 18 korcy zebrałem. Na pierwszej ponowie zato miałem otropione w jednym małym miocie w oddziele Błyszczawka 23 sztuk, między temi 7 sztuk większych. W drugim oddziele 1, a w oddziele Bohorodczany 4, razem 28 dzików. Jak na początek sezonu to szczęśliwie — oby św. Hubert tak całą zimę szczęścił. Z tego miotu gdzie było 23, odstrzeliliśmy ledwie 1-go. Tym szczęśliwym był p. pocztmistrz Zauderer, na którego wyszło 17 sztuk, między temi 16-cie warchlaków. Brak nam myśliwych do obstawienia miotu, ale może św. Hubert poszczęści, że na następnych ponowach będzie lepiej. Dziki są u nas przychodnie, więc się zawsze poluje, gdyż inaczej ludność okoliczna rościła by sobie wielkie pretensye do odszkodowania, gdybyśmy je hodowali, lub nie strzelali. Dziki sprzedaje się na miejscu po cenach takich jak we Lwowie, a mięso znajduje chętnych nabywców. — Donoszę również, że stan zwierzyny w tutejszych dobrach, byłby wcale dobrym, gdyby nie łaskawi sąsiedzi, którzy z wszystkich stron czyhają na wchodzącą w ich lasy i pola zwierzynę. Strzelają więc, co pod lufę padnie, bez względu na porę i rodzaj zwierzyny. Słonek było dosyć w tym roku, — stan zajęcy średni, stan sarn dosyć ładny, kuropatw mniej jak w roku poprzednim. Lisów dosyć, a wścieklizna będzie dobrą pomocnicą w wytępieniu tych podolskich rozbójników, czego im z duszy i serca życzę. W ostatnim Łowcu radzi jeden z myśliwych (hr. Potocki), by ukrócić kłusownictwo, by sprzedaż prochu powierzyć władzom politycznym. Na co kłusownikowi prochu, który trzeba kupić, — również bodaj i lichą strzelbę; na to są inne sposoby. Niechno się Szanowny korespondent przejdzie po handlach żelaznych w Brzeżanach, w Złoczowie, Zborowie, lub Pomorzanach, wiele tam z kolei przywożą i sprzedają rocznie żelazek, samotrzasków na zające, sarny, lisy, borsuki itp.

A wiele to kilogramów drutu czarnego i żółtego rocznie zakłada się między płotami po ścieżkach i przechodach. A wiele się nastawia samołówek, cywek itp. innych środków do łapania zwierzyny. W tych okolicach mało kłusownicy strzelb używają, żelazka, sidła i druty to najtańszy, najcichszy i najpewniejszy środek złowienia zwierzyny.

Jako przykład podam, że przed kilku laty na ogrodzie tylko jednego kłusownika znalazłem między płotem z jednej i drugiej strony 14 sidełek z drutu na zające, a na polu i w lasku między kupami naciętych gałęzi osikowych 3 sidełka (ze sznurka skręconego z drutem) na sarny. Po zrobieniu dokładnej rewizyi, znalazłem ślady i w innych miejscach nastawianych drutów, sideł i żelazek. Nie trzeba więc kłusownikom prochu do tępienia zwierzyny. Radzę więc wszystkim właścicielom polowań i miłośnikom zwierzyny, polecić straży baczną uwagę, tak w jesieni a szczególniej w zimie kontrolowania wszystkich podejrzanych, jak i wszelkich przechodów przez las lub po zaroślach i krzakach, czy nie ma ponastawianych gdzie żelazek lub drutów. Bo w tutejszych dobrach każdej zimy straż leśna kilka żelazek i drutów zawsze wykryje i znajdzie, a nawet sprawców między gałęziami na zrębach wyłapie. Dobrym środkiem na zatrzymanie zwierzyny w lesie jest: nacinanie osikowiny na przecho dach, nakładanie tam dobrego siana i koniczyny, to zatrzymuje zwierza na kraju lasu i zwierz nie wychodzi pod chaty i do sadów. Również bardzo dobrym środkiem jest na polanach leśnych siew rzepaku, a po rowach co parę kroków żarnowcu, a jeżeli nasienie zdrowe i dobrze posiane, to zwierzyna ma prawie całą zimę co żerować. Gorzej jest z zającami polnymi, bo te nie mają takiego żeru, ani ochrony i najczęściej padają ofiarą sidełek i żelazek popod płotami i w sadach ponastawianych. — Życzę wszystkim myśliwym, by im św. Hubert napędził z nad Dniestru, naprzykład z Bukównej lub z innego miejsca tyle dzików, ile myśmy tu mieli na pierwszej ponowie, również życzę dobrych rezultatów z tegorocznych polowań. Szan. Redakcyę przepraszam za nieco przydługą korespondencyę, lecz druhowie w św. Hubercie jak uważam nie bardzo grzeszą ochotą do korespondencyi i doniesień o różnych wypadkach z tak urozmaiconego życia myśliwskiego. Jakże inaczej wyglądają pisma niemieckie? O ileżby Szan. Redakcya miała ułatwioną pracę, gdyby każdy z myśliwych, choć jedną lub dwie korespondencye z każdego sezonu nadesłał!

Ziarnko do ziarnka, a będzie miarka.

Przypominam Szan. Redakcyi, jak i druhom myśliwym, sprawę wydania kalendarza myśliwskiego, leśnego i rybackiego na rok 1904. Bo mówił mi p. Dzikowski we Lwowie, że na r. 1904 kalendarz już nie wyjdzie. Czyż to nie wstyd, że w Galicyi tylu myśliwych a kalendarz się wydawać nie opłaci, bo go nikt kupować nie chce. A gdy nam nadeszlą Jagd- und Forstkalender lub

Weidmansheilkalender lub inny zagraniczny, to go chętnie przyjmiemy i kupimy. Nazywa się to popieranie wydawnictw i przemysłu krajowego. A przecież i nasza drużyna, powinna popierać co swoje, co nasze, bo to dorobek narodowy. Braciom myśliwym ślę wyrazy pozdrowienia.

Stanisław Graff.

Rohatyn, 22. listopada 1903.

Sprawozdanie z polowań Towarzystwa myśliwych w Rohatynie za rok 1902/1903.

Gremialnych polowań urządzono w ciągu roku 13, z tych 2 kociołkowe. W polowaniach wzięło udział członków razem 181, gości 13, pogonki 768, straży leśnej 42 miotów wzięto 113, strzałów padło 932. Zwierzyny ubito sztuk 249, a mianowicie:

dzików	14
lisów	11
zajęcy	191
kozłów	16
jarząbków . . .	9
kuropatw	7
słonek	1

Koszt ogólny urządzenia polowań gremialnych wynosił 871·92 K.

Tytułem strzałowego uzyskano 9·42 K., a ze sprzedaży zalicytowanej zwierzyny 26·30 K. Grzywien ściągnięto 23·00 K.

J. Stenzel
sekretarz Tow.

Z Rzeszowskiego, 25. listopada 1903.

W dniach 20., 21. i 22. października odbyło się polowanie w Narcie u p. Stanisława Dolańskiego w 10 strzelb, obszar lasu 3000 morgów. Rozkład: 17 rogaczy, 17 lisów, 60 zajęcy, 4 słonki. Mróz i śnieg wypłoszył słonki, których było przedtem bardzo dużo, nawet jeszcze 19-go ruszono 5 w ogrodzie i 2 zabito. Lisów w tym roku bardzo jest dużo, zato mniej zajęcy, a sarny chorują na motylicę i ciągle jeszcze widuje się chore, nie wylenione sztuki.

Lizawki i sucha pasza w tryzubach oddałyby tu dobre usługi.

26-go października polowaliśmy w Dylągówce u. p. Maryana Jędrzejowicza w 8 strzelb — padły 2 rogacze, 8 lisów, 1 słonka, 12 zajęcy.

16-go listopada u p. Kazimierza Jędrzejowicza zabito 6 rogaczy, 4 lisy, 13 zajęcy; 5 myśliwych polowało. Obydwie te knieje, mające jak najlepsze warunki do rozmnożenia zwierzyny, miały jeszcze przed paru laty stan sarn znakomity. W Hyżnem zabiliśmy w roku 1900 w jednym dniu 17 rogaczy na obszarze 600-morgowym. Od tego czasu jednak stosunki się zmieniły. Polowania gminne, okalające wiankiem rewiry Hadle, Dylągówka, Hyżne a częścią i Błażowę zadzierżawił pewien włościanin, namiętny niszczyciel zwierzyny, dobrał sobie godnych towarzyszów i wybija wszystko, co się z powyżej wymienionych rewirów pokaże na jego terytoryum. Gdyśmy polowali w Hyżnem, ów miły sąsiad już od świtu polował u siebie, a na łące znaleźliśmy zabitą kozę, jeszcze ciepłą! — prawdopodobnie ofiarę tego mordercy. Ponieważ przy licytacyi tego polowania zachodziły pewne nieprawidłowości, więc jej starostwo nie zatwierdziło, nic to jednak nie pomogło, bo Namiestnictwo zniosło orzeczenie starostwa i taki notoryczny kłusownik utrzymał się przy dzierżawie polowania. Podobne smutne stosunki panują w bardzo wielu miejscowościach, w powiecie rzeszowskim. Trudna na to rada, bo z jednej strony apatya i słowiańska wspaniałomyślność wobec szkodnika, a z drugiej zła wola, poparta bezkarnością.

W wielu wypadkach dzieje się tak: amator polowania i cudzej własności licytuje do bardzo wysokiej kwoty, której to polowanie ani w 4-tej części nie warto i oczywiście utrzymuje się przy dzierżawie — urząd gminny pobiera jednak od niego jakiś czynsz minimalny, ale za to wszyscy polują i niszczą okoliczne rewiry. W takich wypadkach starostwo powinno by wymagać nadzoru polowania przez fachowego myśliwego, n. p. okolicznego leśniczego na koszt dzierżawcy polowania — zaś Rada powiatowa mogłaby sprawdzić w gminach, gdzie czynsz z dzierżawy polowania jest niepomiernie wysoki, czy istotnie ten czynsz bywa płacony do kasy gminnej.

Dnia 20. i 21. listopada odbyło się polowanie w 8 strzelb w Jasionce u p. Stanisława Jędrzejowicza. Pierwszego dnia pogoda sprzyjała, ale drugi dzień, sobota, był szkaradny, deszcz chwilami ulewny z wiatrem północnym chłostał biedną drużynę św. Huberta i wszyscy podziwiali, że pogonka przyszła i goniła jak w najpiękniejszą pogodę. Oczywiście rezultat byłby znacznie lepszy, gdyby nie ta aura sybirska — lisy były w jamach, a zające wracały na nagonkę. Mimo tych niekorzystnych warunków rezultat wcale ładny: 2 dziki, 10 rogaczy, 6 lisów i 23 zajęcy.

Kuropatwy u nas prawie zupełnie wyginęły, tylko w Jasionce, gdzie teren znakomity, a właściciel otacza je opieką i staraniem, strzelano w tym roku kuropatwy. Słonek było dużo, ale tylko do połowy października.

R. Woyciechowski.

Kolendziany, 25. listopada 1903.

Dnia 21. b. m. odbyło się w Trybuchowcach u pp. Franciszków Horodyskich, polowanie w 10 strzelb, na przestrzeni zaledwo 100-morgowej. Przy prześlicznej, prawdziwie wiosennej pogodzie, ubiliśmy w paru godzinach 101 zajęcy i 40 bażantów. Tych ostatnich mnóstwo było w każdym miocie; jednakże po większej części linię strzałów przechodziły piechotą, więc tylko dla tego tak małą stosunkowo ilość mogliśmy ubić, gdyż naturalnie do biegnących piechotą nie strzelano. Największą ilość sztuk na rozkładzie mieli panowie Kazimierz i Leon Horodyski, jednakże niezaprzeczenie palmę zwycięstwa osiągnęła młodziutka i urocza pani Franciszkowa Horodyska, która pierwszy raz stojąc pod sztandarem św. Huberta, ubiła 6 zajęcy i 3 bażanty; budząc w nas starych myśliwych szczery podziw swoją wytrwałością i zimną krwią.

Po uroczych chwilach spędzonych pod gościnnym tym dachem, spotkała nas miła niespodzianka, brat bowiem gospodarza pan Ludwik Horodyski, zaprosił całą naszą drużynę na dwudniowe polowanie do siebie, do Kolendzian. — Tam ubiliśmy 253 zajęcy, 30 bażantów i 2 lisy. Królem polowania był p. Franciszek Horodyski i Wasz najniższy sługa. Pan Jodko, teść pana Franc. Horodyskiego, bawiący chwilowo w gościnie u dzieci, zastrzelił śrótem ogromnego odyńca, którego nazajutrz straż leśna znalazła. Do rogaczy, choć ich było wiele

nie strzelano, oszczędzając na „pürsch“ letni. Co dziwniejsze, że szukając postrzałków bażancich, leśniczy ubił tu dziś jeszcze jedną jakąś zapóźnioną słonkę!

Dziękując tu na tem miejscu, jeszcze raz serdecznie obu gospodarzom, nie mogę się powstrzymać od wyrażenia głośno moich pochwał dla straży leśnej, tak w Trybuchowcach, jak w Kolendzianach, która złożona przeważnie z Niemców, ze znaną niemiecką pedanteryą, znawstwem rzeczy i dokładnością prowadziła polowanie.

Nieraz czytamy w gazetach, lub słyszymy słowa oburzenia, że mając swoich „Iwaśków lub Bartków“, otaczamy się obcymi ludźmi. Ze względów patryotycznych, może to i źle, — nie przeczę, — ale przecież tyle lat polując po rozmaitych pierwszorzędnych prawie polowaniach, nietylko w Galicyi, ale Królestwie i Litwie, tak prowadzonego polowania nie widziałem prawie nigdzie, chyba tam, gdzie Niemcy lub Czesi stworzyli straż leśną. Może być, że to źle, ale „c'est un mal nécessaire“ nasi bowiem gajowi, mimo najusilniejszej pracy, zawsze będą tylko dyletantami. Wytropi on wprawdzie odyńca po śniegu, poprowadzi do grającego głuszca, lub ryczącego jelenia, ale mimo najlepszych nawet chęci, nie mają pojęcia i nie potrafią prowadzić, w całem tego słowa znaczeniu, racyonalnej ochrony i pielęgnacyi zwierzyny.

Jul. Dunin Borkowski.

Kimirz, w listopadzie.

Sezon tegoroczny polowania, zapowiada się w powiecie przemyślańskim dość smutnie, z powodu ogromnego braku zajęcy, które w lecie z powodu ulewnych deszczów, wyginęły. Za to sarn jest o wiele więcej, niż w roku zeszłym.

Dnia 14. bm. na polowaniu u podpisanego, w małym lasku mającym 8 miotów, w 7 strzelb ubito 3 kozły i 7 zajęcy, podczas gdy w roku zeszłym, w tym samym rewirze, padło 41 zajęcy, a drugie tyle, dzięki nie bardzo celnym strzałom, pozostało w lesie.

A ponieważ kłusowników u siebie nie mam, a drapieżne szkodniki przez straż lasową są strzelane, widocznie zatem nietylko młode, ale i stare zające wyginęły.

Stanisław Wybranowski
delegat.



Drobne ogłoszenia.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**